



Emausy za PRL

2017-04-13

W czasach tak zwanej Polski Ludowej wszystko, co było związane z religią i Kościołem, traktowano bardzo podejrzliwie. Dlatego też zdarzały się lata, kiedy krakowska prasa wołała milczeć na temat emausu, był to przecież odpust, czyli wydarzenie religijne. Zanim uznano emaus za świecką zabawę ludową, uciekano się do takich zabiegów jak stwierdzenie z 1949 r., że w wydarzeniu biorą udział wyłącznie „dzieciarnia i starsze osoby”.

Michał Kozioł

Chyba co roku Radio Kraków z okazji Poniedziałku Wielkanocnego nadawało wywiad z prof. Tadeuszem Sewerynem, wieloletnim dyrektorem krakowskiego Muzeum Etnograficznego. Profesor swoim charakterystycznym głosem opowiadał, jak bardzo hałaśliwy był w dawnych czasach emaus, m.in. podkreślał, że „dziewczęta zalotnie trąbiły na trąbach”.

Tradycja ta nie zaginęła. Także w latach powojennych emausy były głośnie. Właściwie każdego roku w relacjach prasowych, które ukazywały się w poświęcony wtorek, można było przeczytać, że były tam: „trąby krzykliwe, piszczące bańki, instrumenty, napętniające całą ulicę Kościuszki wielkim hałasem”. W roku 1955 „Dziennik Polski” pisał: „ruch jak zwykle, katarynki, piszczałki, świstawki”. Czasem odnotowano obecność orkiestry dętej, a w 1982 r. zauważono obecność na emausie Szmelcpaki, czyli zespołu kierowanego przez zwierzyńskiego barda Aleksandra Kobylńskiego, znanego jako Makino.

Królestwo plastiku i militariów

Tradycyjnie każdego roku krakowska prasa krytykowała „emausowy towar”. Pisano, że na straganach sprzedawano: „okropne bohomy, jaskrawe oleodruki, gipsowe figurki” albo „plastikową tandetę made in Częstochowa”. W 1982 r. „Dziennik Polski” donosił, że „najmłodszych trudno było odciągnąć od stoisk zapełnionych plastikowymi lalkami, czołgami, telefonami, świnkami czy koszmarnymi »pszczołkami Majami«”.

Jednocześnie narzekano na brak tradycyjnych zabawek. Czasem odnotowywano obecność „emausnych żydków” – z reguły narzekając na ich wysokie, wręcz astronomiczne ceny – albo drewnianych ptaszków, ale do dobrego tonu należało ubolewanie z powodu braku glinianych dzwonków, emausowych drzewek oraz drewnianych siekier, kiedyś w zamierzonych czasach sprzedawanych na dawnych emausach. Jako zjawisko pozytywne odnotowywano działalność spółdzielni „Milenium”, która oferowała autentyczne wyroby ludowych twórców, wytworzone z tradycyjnych materiałów, czyli drewna, słomy i gliny.

W 1986 r. na pochwałę dziennikarza piszącego relację ze zwierzyńskiego odpustu zasłużyło stoisko Marii i Alfonsa Bartnickich. Cieszyło się ono wyjątkowo dużym zainteresowaniem publiczności, a znajdowały się na nim „tradycyjne ludowe zabawki, pierniki i wyroby z cukru”. Podobno szczególnie chętnie kupowano „duże cukrowe bociany z gołym bobasem na grzbiecie”. Popytem cieszyły się też piernikowe serca z napisami w rodzaju: „Dla Ciebie”, „Kocham Cię” albo „Moja Duszko masz serduszko”.

Jednak, jeżeli wierzyć prasie, państwo Bartniccy byli chlubnym wyjątkiem. Zdaniem dziennikarzy emausy były prawdziwą rewią tandetnych i nieestetycznych towarów. W pisanych



na gorąco relacjach można przeczytać stwierdzenia, że „ilość zgromadzonych na straganach i kramach tworzyw sztucznych mogła przekonać każdego sceptyka, że jesteśmy w zabawkach robionych na wtryskarkach światowym supermocarstwem. Gorzej za to ze wzornictwem i kolorystyką. Jest makabryczna. Ale ludziska to kupują”. Rzecz ciekawa – a działo się to w roku 1987 – że autor notatki za ten karygodny brak gustu obwiniał resort oświaty, gdyż to szkoła powinna u krakowskiej młodzieży wyrobić poczucie piękna, które chroniłoby ją przed kupowaniem brzydkich, emausowych pamiątek.

Dziennikarze piszący o poniedziałkowym zwierzynieckim odpuscie zauważali na straganach obecność wielkiej ilości „militariów”. Widok plastikowych mieczy, hełmów, tarcz oraz pistoletów maszynowych skłaniał ich do niewesołych refleksji. W 1987 r. autor relacji z emausu posunął się do stwierdzenia, że „Na świecie Święta Wielkanocne są okresem, kiedy organizacje pacyfistyczne urządzą marsze pokoju. Protesty przeciwko atomowej broni, walka o rozbrojenie jest nową jakością tych obejmujących cały obszar cywilizacji europejskiej świąt. Tymczasem na Emausie panował duch dozbrojenia. Korkowce, kapslowce i inne pistolety obok hełmów, tarcz i mieczy dominowały na kramach”.

Trzeba przyznać, że władze miejskie starały się dbać o poziom emausowej oferty. Działała nawet specjalna komisja złożona z przedstawicieli Spółdzielni „Milenium”, Muzeum Etnograficznego oraz Muzeum Historycznego Miasta Krakowa. W 1989 r. członkowie tej komisji z radością stwierdzili obecność „tradycyjnych Żydów, glinianych dzwonków, drewnianych ptaszków i lukrowanych pierników” oraz przyznali nagrody. W kategorii stoisk cukierniczych otrzymali je Małgorzata Gancarz i Julia Kocik, a w „asortymencie mieszanym” – znani emausowi kupcy, czyli Maria i Alfons Bartniccy. W kategorii zabawek główną nagrodę otrzymał Józef Mentel.

Nie tylko stragany

Kramy nie były jedyną atrakcją emausu. Oczywiście odnotowywano obecność karuzeli i „strzelnic sportowych”. Na tych ostatnich można było wystrzelać barwne kwiatki zrobione z piór, a także zdjęcia gołych piękności. Czasem w relacjach prasowych pojawiała się informacja o fotografii z kucykiem oraz autentyczną małąką i to jeszcze ubraną w biało-czerwony sweterek i kowbojski kapelusz.

Rzecz jasna odnotowywano, i to z dużą dezaprobatą, śmigusową działalność młodszej młodzieży męskiej. Prawie co roku pisano o barbarzyńskim polewaniu dziewcząt, którym niekiedy dziennikarze nadawali dowcipne (w ich mniemaniu) określenie „smarkul”. Co bardziej rozwyrzeni młodzieńcy polowali nie tylko na dziewczęta, lecz także na pasażerów tramwajów, które atakowali za pomocą „miotaczy wody”. Przed przeszło trzydziestu laty „Dziennik Polski” doniósł, że „popłoch wzbudzała zwłaszcza ponad 20-osobowa grupa wyrostków, przemierzająca ul. Kościuszki ze skandowaniem »A-zo-ry, A-zo-ry«”. Niewątpliwie był to dowód absolutnego, doszczętnego wyginięcia kiedyś bardzo sławnych zwierzynieckich andrusów, którzy – gdyby jeszcze istnieli – nie pozwoliliby przecież, aby na ich terenie szarogęsili się obcy przybysze i to jeszcze z odległych Azorów.

Obecność na emausie prawdziwych, groźnych chuliganów odnotowywano w latach pięćdziesiątych. Zwłaszcza 1955 r. obfitował w niezwykle wydarzenia. Warto więc zacytować



obszerny fragment relacji, jaka ukazała się wtedy na łamach „Dziennika Polskiego”. Jej autor przeszedł harmonijnie od narzekania na odpustowe „bohomyzy” do opisu chuligańskich wyczynów: „Obok tych gipsowych widać na Emausie i żywe bohomyzy: całą rewię chuliganów z fryzurami *á la Philippe* (z konopi). Przeważnie mocno zawiani, przeważnie awanturujący się. Trzech takich (Karol N[...] bez pracy lat 25 zam. W Nowej Hucie osiedle C1 Blok 3 m. 103, i dwaj bracia Eugeniusz i Władysław Ł[...], zam. ul. Majora) zatrzymano z grubsze awantury na IV komisariacie MO przy ul. Kościuszki. Czwarty – Józef O[...] ur. w Mszanie Dolnej 20.5.1936, pracownik Krak. Przeds. Robót Telekomunikacyjnych, ul. Łobzowska 22 – wylądował w III. Komisariacie przy ul. Batorego. Wylądował to nie żadna przenośnia, bo O[...] pobiwszy milicjantkę uciekł do łódki na Wiśle, tam szamocąc się z milicjantami, wepchnął jednego do wody, a obezwładniony, po przewiezieniu na drugi brzeg (na komisariat wodny MO), skoczył w ubraniu do wody. Ten »śmigus« trochę go ocucił, wylądował więc na brzegu, a w końcu – po przewiezieniu przez Pogotowie – na III. Komisariacie. Tutaj »na dodatek« zdemolował lokal, zanim zdołano osadzić go w areszcie”. Oczywiście w oryginalnej wersji prasowej notatki podano pełne brzmienie nazwisk. Nie dziwny się tym karygodnym wybrykom, rok 1955 to „złote czasy” polskiego chuligaństwa.

Innym, zauważanym przez dziennikarzy, karygodnym zjawiskiem był hazard, czyli tak znana „gra w kolorki”. Ubolewano, że choć stolików było kilkanaście i to zewsząd widocznych, choć ogrywano na nich nieletnich, to jednak nikt nie interweniował. Autor notatki zadawał retoryczne pytania: „Skąd to pobłażanie? Dlaczego nie było tam milicji?”. Był to jednak już rok 1988, więc pytania pozostały bez odpowiedzi.